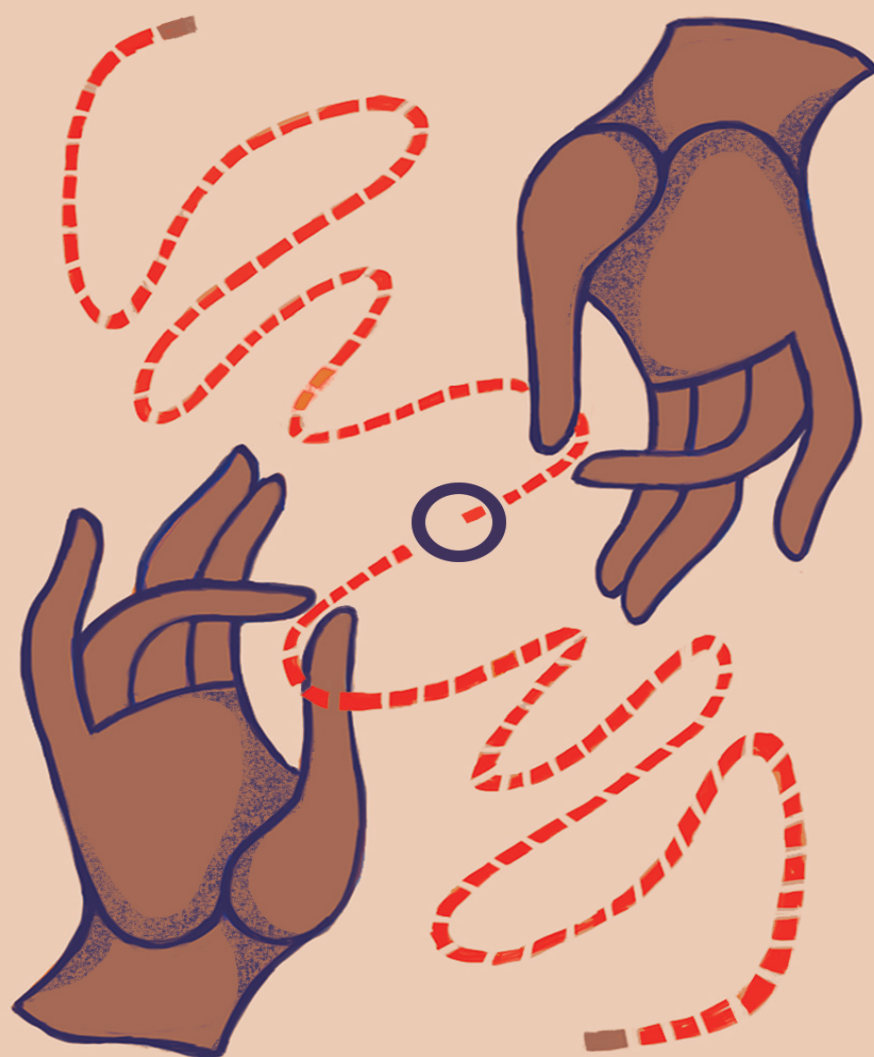


Lorenz Marti

Jak mistyk sznuruje buty?



Ślady duchowości w codziennym życiu



Dla Coriny.

Bez niej ta książka nigdy by nie powstała.

Lorenz Marti

Jak mistyk sznuruje buty?

Ślady duchowości w codziennym życiu

WYDAWNICTWO 

Kraków

Tytuł oryginalny: Lorenz Marti, *Wie schnürt ein Mystiker seine Schuhe? Die großen Fragen und der tägliche Kleinkram*

Tłumaczenie: Anna Polak

Adiustacja: Paulina Lenar

Korekta: Magdalena Dobosz

Okładka: Eliza Straczycka

© Copyright by Verlag Herder GmbH, Freiburg im Breisgau 2021

© Copyright by Wydawnictwo M, Kraków 2022

ISBN 978-83-8043-899-6

Wydawnictwo M

31-159 Kraków, Al. Słowackiego 1/6

tel. 12-259-00-03

e-mail: biuro@wydawnictwom.pl

www.wydawnictwom.pl

Dział handlowy: tel. 601-954-951

e-mail: handel@wydawnictwom.pl

Księgarnia wysyłkowa:

tel. 12-259-00-03; 721-521-521

e-mail: bok@klubpdp.pl

www.klubpdp.pl

Przygotowanie wersji elektronicznej

[Epubeum](#)

Przygrywka

Ranek. Muszę iść. Czas nagli. Pospiesznie wiążę buty. Czy jeszcze zdążę na dworzec? Pęka sznurówka. Właśnie teraz, gdy tak się spieszę. Szukam nowej, drżącymi palcami przeciągam przez oczko w bucie i mocno wiążę. But się trzyma. Wychodzę.

Banalna historia, jakich wiele w ciągu dnia. Błahostka, pozornie bez znaczenia. Tak już musi być, że sznurowanie butów, podobnie jak wszystkie codzienne drobiazgi, zawsze zabiera za dużo czasu.

Drobiazgi?

Uczeń słynnego żydowskiego kaznodziei Maggida z Międzyrzeca pozostawił po sobie takie zdanie: „Nie poszedłem do Maggida, żeby studiować u niego Torę, tylko żeby popatrzeć, jak sznurowuje buty”.

I nagle widzę film w zwolnionym tempie. Słynny mędrzec wiąże buty. Uczeń się przygląda. Żaden z nich się nie odzywa. W każdy ruch mistrza uczeń wpatruje się, jakby patrzył przez lupę. Przygląda się uważnie, żeby nic nie uszło jego uwagi. Pozwala, by poruszyło go to, co widzi. Nie interesuje go abstrakcyjna nauka, lecz konkretne życie. Szuka spotkania z człowiekiem, który żyje tym, co głosi. Ma nadzieję, że obserwując praktyczne czynności, pozna, co Maggida porusza i podtrzymuje. I wie: być może podczas sznurowania butów odkryje więcej z tajemnicy życia, niż studiując święte pisma.

Jak mistyk sznuruje buty? Uczeń tego nie zdradza. Pytanie pozostaje otwarte. Sam chętnie przyjrzałbym się kiedyś Maggidowi. Prawdopodobnie nie zauważyłbym niczego szczególnego. Mistycy i mistyczki są ludźmi takimi jak ty i ja. Z tą małą różnicą, że odkrywają i badają głębokie pokłady życia zwykle przed nami zamknięte. Te zwiadowcze podróże w głąb istnienia mogą się przejawiać w codziennym życiu w przeróżny sposób. Wyobrażam sobie, że niektórzy mistycy wiążą buty z ogromną uwagą i spokojem, traktując tę drobną czynność jako ćwiczenie duchowe. Inni z kolei, jak ja, wolą to mieć jak najszybciej z głowy. Od tych pierwszych mogę się uczyć, z tymi drugimi czuję się związany. Pierwsi mnie wyprzedzają. Drudzy są mi bliscy.

Istnieje wiele teorii na temat Boga i świata. Ostatecznie jednak wszystko sprowadza się do problemu, jak radzę sobie ze zwykłymi, praktycznymi wyzwaniem powszedniego dnia. Refleksja nad poważnymi życiowymi pytaniami pojawia się zawsze w momencie, w którym się akurat znajduję. Nawet podczas niecierpliwego wiązania butów.

Od tego chciałbym zacząć. Nie od żądania, bym się zmienił albo „poprawił”. Tylko od gruntownego zbadania rzeczy. Uzyskania jasności. Nauczenia się, jak odróżniać sprawy istotne od nieistotnych. Znalezienia śladu rzeczy właściwych, obojętne, czym są.

Dla mnie duchowość ma znaczenie tylko wtedy, gdy jest związana z bardzo konkretnym życiem. Gdy poszerza i pogłębia codzienność, gdy ją przenika i ożywia. Nawiązując do żydowskiego pochodzenia, słowo „duchowość” kryje w sobie pojęcia: duch, dal i wiatr. Wiatr wieje, kędy chce. Nie da się go zaplanować,

zorganizować, opanować. Jego siła porusza, burzy ustalony porządek, tworzy przestrzeń dla tego, co nowe.

Powiedziałem już za dużo? Ach, jak mało wiem o tym wietrze. Jest zawsze tak zaskakująco inny, niż myślałem. Mimo to chciałbym się zbliżyć do jego tajemnicy. Dotykając, szukając i wciąż pytając. A gdy w międzyczasie udzielę jakiejś odpowiedzi, warta będzie zakwestionowania, godna kolejnego pytania. Odpowiedzi zamykają bramy, pytania otwierają. „Zadawanie pytań – mówi Martin Heidegger – jest pobożnością myślenia”.

W takim właśnie duchu pisałem tę książkę. Wszystkie teksty traktuję jako zbiór szkiców i projektów. Żaden nie jest zamknięty, wszystkie otwarte, dające się rozwinąć – i przejściowe. Wystarczy jeden podmuch wiatru, a wszystko będzie znowu wyglądało całkiem inaczej.

Wtedy trzeba będzie: wstać, ze spokojem zawiązać buty, opuścić dom przyzwyczajęń i na nowo ruszyć w drogę.

Lorenz Marti

ROZDZIAŁ I

Niespokojne serce i bezkresna dal

Wędrówki po ścieżkach religii

Dokąd to idziemy?

Zawsze do domu.

Novalis

Niespokojne serce

Musi być coś więcej niż tylko mały własny świat, w którym się poruszam. Coś wielkiego, obszernego, bezkresnego. Musi być coś więcej niż ciągła przeplatanka bólu i radości, szczęścia i nieszczęścia, światła i mroku. Coś trwałego, nieprzemijającego, wiecznego. Musi być coś więcej niż tylko moje wyizolowane, pojedyncze istnienie śmiertelnej istoty, podatnej na zranienia. Coś całościowego, unoszącego, wszechogarniającego. Musi być coś takiego jak wielka współzależność, w której moje małe życie także ma swoje miejsce.

Musi być coś więcej. Tęsknota pali. Za to „świat wyszedł o jeden numer za mały” (Kurt Tucholsky). Co prawda, istnieje wiele możliwości zaspokajania tej tęsknoty, żyje z niej sporo gałęzi gospodarki, rozgłaszając przesadne obietnice szczęścia. Jednak ilekroć kupuję i posiadam, tylekroć czai się za tym ziewająca pustka. Pozostaje wewnętrzne pragnienie, którego nie można ugasić niczym z zewnątrz.

„Czego właściwie szukasz?”, pytam siebie czasem, gdy owładnięty ślepą żądzą kupowania ganiam po centrach handlowych. Czego szukam? Naprawdę nowego swetra (mam już przecież kilka) czy też uczucia szczęścia, którego w związku z nim mam nadzieję doznać (przy czym wiem, że nigdy nie trwa ono długo)?

„Czego właściwie szukasz?”, pyta Augustyn, wielki nauczyciel Kościoła czasów antycznych. Jego rada: „Szukaj, czego szukasz, ale nie tam, gdzie szukasz”. Może się więc zdarzyć, że odłożę piękny sweter na półkę i odejdę, trochę rozczarowany, ale lekkim krokiem.

Co prawda, jestem jeszcze ciągle dość naiwny, żeby dać się oślepić i uwieść zewnętrznym powabom. Pozostaje jednak rysa, napięcie między tym, co jest, a tym, za czym tęsknię. Gdy się przyglądam swoim życzeniom i pragnieniom, odkrywam czasami prawie bolesny przymus. Tylko pozornie dotyczy on spraw zewnętrznych. Sięga głębiej. Jest to przymus przekroczenia ciasnoty mojego świata w stronę czegoś większego. Tęsknota za szczęściem niezależnym od warunków zewnętrznych. Tęsknota za transcendencją.

Augustyn mówi o „niespokojnym sercu” popychającym człowieka do przodu. „Niespokojne serce jest początkiem pielgrzymowania. Mieszkająca w człowieku tęsknota wyrывa go z jednostajności powszedniego dnia. Na dnie swego serca szuka on zawsze Tego Innego, a wszystkie drogi, w które wyrusza, wskazują, że całe jego życie jest drogą, pielgrzymką do Boga”.

Czegokolwiek bym szukał, inspiracją pozostaje niespokojne serce. Ono nie chce nowego swetra. Chce więcej. Dużo więcej. Chce wszystkiego.

Niespokojne serce nakłania mnie, bym wciąż ruszał i szedł dalej drogą ginącą w nieskończoności.

Czasami myślę, że byłoby pięknie gdzieś dotrzeć. Ale od mistyków uczę się, że każdy krok na tej drodze ma swoje

znaczenie, tak że sama droga jest już w pewnym sensie celem.

To, czego szuka moje niespokojne serce, jest mi bliższe niż ja sam.

Idę nie wiadomo dokąd

Droga, którą idę, nie jest prostą ulicą. Raczej wijącą się, wyboistą ścieżką, z wieloma zakrętami, wzniesieniami i dolinami. Nie wiem, gdzie ma swój początek, i nie wiem, dokąd prowadzi. Moja droga jest zagadką na wielu odcinkach. Życie samo w sobie jest zagadką. Także ja sam jestem często dla siebie niemałą zagadką. Idę, bo nic innego nie mogę zrobić. Ale nie wiem, kto właściwie idzie ani dokąd.

Średniowieczny poeta wyraził to doświadczenie w trzech linijkach, dochodząc w czwartej do zaskakującego odkrycia:

Idę nie wiadomo dokąd
ani nawet nie wiem skąd,
jestem nie wiadomo czym,
skąd więc radość w sercu mym?

Bez trudu identyfikuję się z tym nieznanym wędrowcem na nieznanej ścieżce. Z pewną jednak różnicą: brakuje mi jego bezpodstawnej radości. Raczej rzadko jestem radosny, a jeśli już, to najczęściej z jakiegoś konkretnego powodu. Radość wędrowca nie ma jednak zewnętrznej przyczyny. Niepewność, z którą musi się zmierzyć, powinna go raczej napawać troską. Ale on jest radosny. Bez powodu. Tak po prostu. Jest zdumiony. Dziwi się.

Jest to najwidoczniej inny rodzaj radości niż ta przedstawiana nam przez kulturę przyjemności. Radość, która nie obawia się ciemnych stron życia. Radość niezależna od szybko zmieniających się warunków. Towarzyszy wędrowcowi cicho i nienachalnie na jego drodze, czy świeci słońce, czy pada, czy grzmi.

Wyobrażam sobie, że wędrowiec jest w drodze bez bagażu. Odrzucił cały balast, zrezygnował z planów i zamiarów. Maszeruje przed siebie lekkim krokiem, by dać się zaskoczyć temu, co ma się zdarzyć. Oczywiście go idealizuję, a kontrast między nim a moim ciężkim czasem i zatroskanym krokiem staje się jeszcze wyraźniejszy. Przy okazji jednak odkrywam, dlaczego brakuje mi lekkości: wlokę za sobą dużo za dużo balastu. Historie z przeszłości, od których nie umiem się uwolnić, wiszące u moich stóp niczym ołowiane kule. „Odrzuć je – słyszę głos nieznajomego wędrowca – zapomnij o swojej historii i żyj t e r a z !”.

W przeciwieństwie do niego targam z sobą wiele smutków, obaw, nadziei i życzeń. Czując ich ciężar, próbuję znaleźć kierunek swojej podróży. Droga nie zawsze przebiega zgodnie z moimi wyobrażeniami. Rzeczywistość często wygląda inaczej, niżbym chciał. I znowu słyszę głos radosnego wędrowca: „Odrzuć swoje wyobrażenia, zdaj się na drogę i jej tajemnice!”.

Chrześcijanie pierwszych wieków nazywali siebie „ludźmi drogi”. Potem stali się zasiedzali, co tej religii wcale nie pomogło. „Ludzi drogi” trzeba odkryć na nowo: życie jako wędrówka, jako pielgrzymowanie. Pytania skąd i dokąd nie są tu tak istotne jak sam ruch, bycie w drodze.

Stara pielgrzymia dewiza „ludzi drogi” brzmi:

Wędruj wolny jak pielgrzymi,
prości, z rękami pustymi,
zbieranie czy handlowanie
ciężkimi twe kroki uczyni.
Kto chce, niech dźwiga do końca.
My w swoją stronę pójdziemy,
mając to, co konieczne –
z wszystkiego zadowoleni.

Bezdrożna droga

Istnieją dobrze widoczne odcinki drogi. Pozwalają patrzeć daleko przed siebie, co ułatwia orientację. Czasami jednak droga znika za zakrętem albo wzgórzem. Ginie w krzakach albo w lesie. A czasem jakby się urywa, tak że nie widać końca. Nie ma więcej śladów ani oznaczeń. Wędrówka prowadzi w nieznane, każdy krok wymaga odwagi. Mistyka mówi o bezdrożnej drodze. Nie ma na niej przewodnika ani zabezpieczenia. Powstaje podczas wędrówki i ponownie ginie.

Nie lubię tego. Za dużo niepewności. Potrzebuję mocnego gruntu pod nogami. Pewnego oparcia. Orientacji. Wiarygodności. Bezpieczeństwa. Stałości.

I nie jestem w tym odosobniony. Poszukiwanie bezpieczeństwa przewija się jak motyw przewodni w historii ludzkości. Przyczyniło się ono do rozwoju nauki i techniki, ale wywołało też katastrofy i wojny. Dziś wyraźniej widać granice ludzkich możliwości i mimo całego postępu życie ludzkie nie stało się dużo bezpieczniejsze.

Bezdrożna droga. Czasami prowadzi przez wodę. Wymaga rzeczy niemożliwych. Kroku w pustkę. Zaufania sile większej, niż rozum może pojąć.

Opowiada o tym stara historia. Oto Piotr na wzburzonym jeziorze Genezaret wychodzi z chwiejącej się łodzi i staje na

otwartej tafli. Z wahaniem i strachem idzie w stronę swojego Mistrza wychodzącego mu naprzeciw. Ostrożnie stawia stopy jedna przed drugą, nie spuszczając wzroku z Mistrza. To On wyznacza kierunek, więc Piotr może się Go trzymać, Jemu zaufać. Jednak po chwili przeraża go silny podmuch wiatru. Zaczyna się chwiać, traci Mistrza z oczu, a spojrzenie wbija w piętrzące się wokół niego groźne fale. Nie wie, co z nim będzie, jest wytrącony z równowagi, przestraszony i zaczyna tonąć. W ostatniej chwili Mistrz go ratuje.

Nie jestem tak odważny jak Piotr. Jednak od czasu do czasu okoliczności zmuszają mnie, bym opuścił swoją bezpieczną łódź i stanął na wodzie. I uda mi się czasem zrobić jeden, dwa albo i trzy kroki. Ale przy najmniejszym wstrząsie tracę równowagę, gubię się i nie wiem, co dalej robić. Pytanie wówczas brzmi: Na czym skupiam uwagę? Wpatruję się w groźne, miotające fale – czy patrzę dalej?

Inną wersję tej opowieści zna tradycja buddyjska: opowiada ona o pewnym młodzieńcu, który pełen zachwytu przechodzi przez szumiącą rzekę, żeby na drugim brzegu posłuchać nauczania Buddy. Nagle na środku rzeki uświadamia sobie, na jak ogromne niebezpieczeństwo się naraził. Wpada w panikę i zaczyna tonąć, fale go pochłaniają. Po chwili przypomina sobie znowu o Buddzie i w tym momencie odzyskuje spokój. O własnych siłach wydostaje się z wody i przechodzi na drugi brzeg.

Kryzys przejścia, jakich w życiu pełno w niezliczonych odmianach. Mężczyznę na środku rzeki dopada jego własny strach. To, co stare, już go nie podtrzymuje, nowego jeszcze nie ma. Młodzieniec pokonuje ten kryzys, bo nie koncentruje się na

niebezpieczeństwie, tylko na tym, co go może podnieść. Co przenosi mnie przez rzekę życia?

Inaczej wygląda ta historia w opowieści o pewnym hinduskim mistrzu, który usłyszał, że najgłupszy z jego uczniów przeszedł przez rzekę. Nie może w to uwierzyć, ale uczeń potwierdza plotkę: „Tak, przeszedłem przez rzekę. I tobie to zawdzięczam: przy każdym kroku przyzywałem twojego świętego imienia i ono mnie podtrzymywało”. Zdumiony mistrz zaczyna się zastanawiać, jaką to cudowną moc kryje jego imię, skoro dzięki niemu nawet głupi uczeń potrafi przejść przez rzekę. Chce zaraz sam to wypróbować, idzie nad rzekę i bez wahania stawia stopy na wodzie. Woła przy tym z pobożną żarliwością: „Ja, ja, ja”... I tonie w głębinie.

Jak dobrze znam tę historię: gdy kręcę się wokół siebie, idę na dno. Słowo „ja, ja, ja” nie unosi. *Ego* nie otwiera żadnej perspektywy. Jak uczą duchowe tradycje, żeby dojść do spełnionego życia, trzeba zrobić krok ponad ego, oddać się czemuś wyższemu. Nie muszę wtedy tracić siebie z oczu. Ale muszę przestać widzieć tylko siebie.

Chmury to nie niebo

Mój obraz świata, przyznaję, jest egocentryczny: widzę siebie w jego środku i w swej ślepotcie uważam, że wszystko kręci się tylko wokół mnie. Mam jakby swoją własną wersję przełomu kopernikańskiego. Ponieważ jak długo uważam siebie za centrum, nie widzę prawdziwego środka.

Wiele wieków temu, jak głosi opowiadanie, pewien król namalował na ścianie czarną linię i zwołał swoich mędrców: „Czy potraficie tę linię pomniejszyć, nie dotykając jej?”. Mędracy się zmieszali. Długo się zastanawiali, ale nie mogli znaleźć rozwiązania. W końcu jeden wyszedł na środek, wziął do ręki pędzel i narysował nad linią króla drugą, znacznie dłuższą. Bez dotykania pierwsza linia stała się krótsza.

To jest ten kopernikański przełom, który miałem na myśli: gdy stwierdzę, że wydaję się sobie zbyt ważny, nie muszę się od razu umniejszać. Ale muszę wiedzieć, że jest coś większego ode mnie. Muszę odkryć tę wielką linię.

O to chodzi w religii. Religia jest przekraczaniem granic. Otwiera nowe horyzonty. Prowadzi w dal. Wskazuje na niebo nade mną. Jest ono nieskończonym, nienaruszalnym tłem wszystkiego, co istnieje. Chmury pojawiają się i znikają, gwiazdy przelatują, niebo zawsze pozostaje, lśniąco, spokojne i jasne.

Mistyka uczy: niebo jest nie tylko nade mną, lecz także we mnie. Tybetański lama Sogyal Rinpoche widzi w nim obraz „prawdziwej natury” człowieka, jego najgłębszej istoty. Jest on jednak często zakryty chmurami pomieszanego umysłu. Kto patrzy na niebo z dołu, bierze chmury za jedyną rzeczywistość. Kto jednak wsiądzie do samolotu i przebije się przez warstwę chmur, odkryje bezkresną dal jasnego, niebieskiego nieba. Z tej perspektywy chmury są tylko małym, nieistotnym tworem, nietrwałym i bez większego znaczenia. Sogyal Rinpoche: „Powinniśmy stale sobie przypominać, że chmury nie są niebem”. Chmury powstają i się rozwiewają. Ich kształt i forma się zmieniają. W swej nietrwałości i przemijalności są obrazem samego życia. Ale nie mogą równać się niebu. Chmury są na niebie, ale nie są niebem.

Swoją wielkością i przejrzystością niebo wskazuje na wymiar transcendentny, który przetrwa początek i koniec czasów. Pokazuje, że jest coś ważniejszego i większego niż własne małe troski i problemy. Zaprasza mnie, bym zgubił się w jego bezkresie, żeby na nowo się odnaleźć. Tworzy wielką linię nad małą linią mojego życia.

Jednocześnie próbuję stanąć obiema nogami na ziemi. Żadnych niebiańskich mrzonek, żadnego szturm do nieba. Tu na tej ziemi jest moje miejsce, i nigdzie indziej.

Idę więc swoją drogą ze świadomością, że nade mną rozpięty jest wielki namiot nieba – i że odbija się on także we mnie. I stopniowo zaczynam rozumieć: nie jestem centrum. Świat nie kręci się wokół mnie. Są wymiary daleko mnie przewyższające. Nie czyni mnie to małym, lecz skromnym. Moja osobista historia jest częścią niekończącej się historii. Fragmentem mozaiki bez granic.

Wędrowki po pustyni

Wiele religii miało swoje początki na pustyni i ma dużo do powiedzenia o doświadczeniach na pustkowiu. Pustynia jest całkiem odrębnym światem, krajobrazem o osobliwej urodzie. Stykają się tu skrajności: życie i śmierć, zagłada i ratunek, przekleństwo i wybawienie, najgłębsze zwątpienie i największe szczęście.

Z dala od centrów i presji cywilizacji pustynia otwiera nieskończenie dalekie przestrzenie, w których człowiek może się zgubić i musi odnaleźć na nowo. Na tych nieurodzajnych peryferiach istnienia spadają wszystkie maski i przebrania. Pozostaje nagi człowiek, zdany na samego siebie. Pustynia stawia przed nim lustro: taki jesteś, gdy opadnie z ciebie wszystko, co zewnętrzne.

Gdy w IV wieku chrześcijaństwo stało się religią państwową rzymskiego imperium i groziła mu utrata duchowej mocy, wielu ludzi ruszało na pustynię, by jako pustelnicy odkrywać na nowo pierwotne źródło. „Pustynia jest czysta i oczyszcza”, wyjaśniał jeden z nich. Ojcowie i matki pustyni rozwijali swoją duchowość, dążąc do pustynnej klarowności. Ludzie przychodzili z daleka, by się od nich uczyć. I odwrotnie, mnisi pustyni uczyli się od swoich gości. Gdy kiedyś pewien eremita w gniewie wyrzucił za drzwi swego ucznia, ten usiadł na zewnątrz i czekał. Eremita

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

